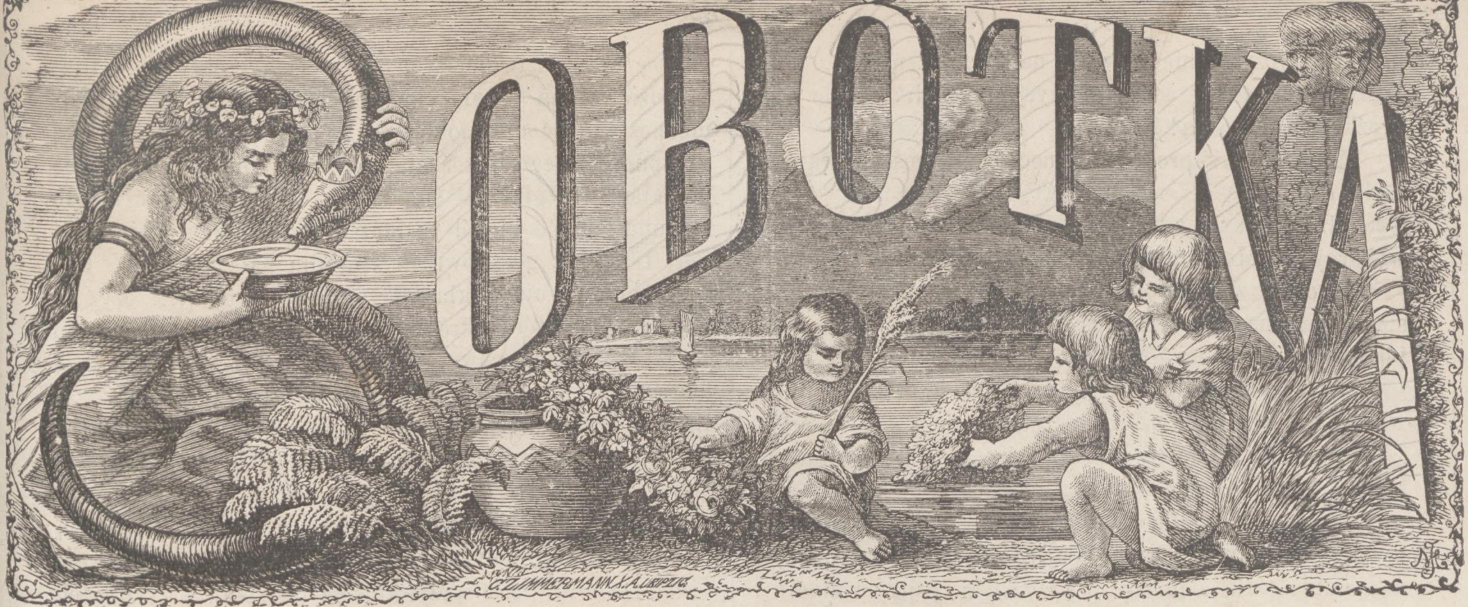


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 36. Poznań, dnia 3 Września 1870. Rok II

Wojna o pannę.

Obrazek z małomiejskich stosunków Wielkopolski

skreślił

....

(Ciąg dalszy.)

Kubuś tylko i Kachna nie troszczyli się o cel tych odwiedzin, lecz korzystając z wolności, zeszli się na miłą pogadankę, jak zwykle, na polu, pod płotém... Miejsce to nieodznaczało się bynajmniéj szczególnie poetycznym urokiem, ale bezpieczne i ciche w oczach rozkochanéj pary prawdziwym było Edenem. Kubuś dnia tego w niewesołém znajdował się usposobieniu i rozmowa leniwym wlekła się krokiem...

„Ależ z panem rozmawiać dzisiaj niepodobna!“ z grymasem zawołała Kachna, któréj umysł wesoły i prędki niecierpliwił się tą powolną gawędką. „Pan jesteś dzisiaj tak nudny!...“

Kubuś zasępił się mocno.

„Eh, pan, pan!“ odpowiedział gniewnie. „Pocóż te głupie tytuły?... Znamy się Bóg wie jak dawno, jako dzieciaki obywaliśmy się bez panów, to i teraz nie panujmy się dłużéj... Ty a ty, oto tytuł najlepszy dla pary gołąbków!...“

„Dobrze więc!“ odparła figlarnie, odwracając ze wstydem twarzyczkę. „Powiem ci bez wszelkich komplementów, że dziś jesteś bardzo niesmaczny!...“

Kubuś udobruchał się znacznie.

„Nic dziwnego!“ zawołał z westchnieniem. „Przed chwilą bardzo niemiłe wysłuchałem kazanie i dla tego tak kwaśny mam humor... Wpadliśmy w naszą łapkę, Kasiuniu!... Prawda, że udane względy panny Zofii oślepiły ojca zupełnie, że stosunków naszych nie domyśla się wcale, ale za to téż nagli do stanowczych oświadczyn i lada dzień z proboszczem umówić się może.“

„No i cóż!“ odpowiedziała Kachna. „Ty dostaniesz kosza od Zosi, pan Filip odmowną od księdza odpowiedź i komedja wybornie się skończy!...

„Otóż sęk!“ odparł Kubuś dłonią pocierając czoło. „Któż nam zaręczy, że proboszcz nie zezwoli na to małżeństwo?... Alboż ja to nie jestem najpierwszą partją w miasteczku?“ dodał, dumnie podnosząc się na palcach, „alboż to ksiądz proboszcz cośkolwiek zarzucić mi może?... Przytém proboszcz w przykrych jest dzisiaj stosunkach, może łatwo utracić posadę i dla tego los panny Zofii jak najprędzéj zabezpieczyć zamyśla... Któż wie, czy naszéj komedyjki nie wziął za dobrą monetę, czy jéj o prawdziwe nie posądza względy, czy nas na przekorę panu Walentemu pożenić nie myśli?... któż wie, jakich tam ojciec użyje sposobów, by go do zezwolenia nakłonić?... Jak tu potem wykręcić się z téj matni?... Panna Zofia odmówić nie będzie miała odwagi, ja po tylu zalotach już się wycofać nie zdołam.... może być źle, bardzo źle Kasiuniu!...“

„A więc trzeba zerwać natychmiast!“ żywo zawołała Kachna, „trzeba stanowczym krokiem zapobiedz temu nieszczęściu, trzeba rodzicom koniecznie wyspowiadać się z naszych skłonności!...

Kubuś roześmiał się głośno, Kachna w zamyśleniu pochyliła główkę ku ziemi.

„Już mam!...“ zawołała po chwili, klaszcząc z radości rękoma, „Wymyśliłam sposób wyborny!... Pójdziesz po prostu do księdza, powiesz mu wszystko otwarcie, i poprosisz w końcu usilnie, aby, prawdziwéj nie wymie-

niając przyczyny, nie zezwolił na to małżeństwo... Proboszcz, poznawszy stan rzeczy, przychyli się do twéj proźby z pewnością!...

Myśl ta, jak promień słoneczny, jasnością swą uderzyła Kubusia.

„Brawo!...“ zawołał, zacierając dłonie, „pomysł wyborny!... Możemy być pewni wygranéj!...

Kachna z rozpromienionóm obliczem tryumfująco spoglądała na niego, Kubuś w radosnym zachwycie małą jéj rączkę gorącemi okrywał pocałunkami.

„A cóż potem będzie, Kasiuniu? zapytał potulnie, wpatrując się w jéj czarne oczęta.

„Bóg wie!“ odpowiedziała zalotnie. „Ale, jakoś to będzie zapewne!...“

I zakochana para, uspojona nektarem nadziei, w niemym uśmiechu i miłosnych spojrzeniach opowiadała sobie wzajemnie całą sielankę o przyszłym raju na ziemi... W téj chwili drzwiczki prowadzące z podwórza Matusińskich złowrogim odezwały się skrzypem i przed oczyma osłupiałéj pary ukazała się nagle groźna, olbrzymia postać pana Walentego... Czarne, świąteczne odzienie, niepewny blask zniżającego się słońca, cisza panująca naokół, — wszystko to podnosiło znacznie piekielną okropność tego niespodzianego zjawiska... Kachna w niemym przestrachu nieruchoma pozostała na miejscu i bladą schyliwszy twarzyczkę, błędne oko wodziła po ziemi. Kubuś szkarłatnym oblał się rumieńcem, straszliwym gniewem zawrzał w głębi serca i ze stałem przedsięwzięciem rozpaczliwéj walki groźnie spojrzał w oczy przeciwnika... Ale twarz pana Walentego nie była wcale straszliwą...... Jakiś uśmiech ironiczny igrał na jego ustach, figlarna dobroduszność malowała się w oczach zmrużonych, a białe czoło, zazwyczaj chmurą gniewu pokryte, w téj chwili jasną świeciło pogodą. Pan Walenty ręce wsadził w kieszenie, stanął na progu podwórza, nucił przez zęby piosenkę i z miną wesołą i drwiącą co chwila lekko unosił się na palcach... Kubuś oniemiał z zadziwienia...

„Dobry wieczór, dobry wieczór, panu Jakubowi!“ uprzejmie zawołał pan Walenty.

„A cóż to?, — sąsiad tu z moją córką gawędzi sobie samotnie, jakgdyby to salonu nie było na jego usługi... Prosiemy, prosiemy do siebie!...“

Kubuś nie ruszył się z miejsca... Pan Walenty zbliżył się do niego i poufale uchwycił go pod ramię.

„Ho, ho!“ mówił daléj, ciągnąc osłupiałego za sobą, „już to rok przeszło, jak pan Jukub nie łaskaw na swego sąsiada... Cieszę się, cieszę niezmiernie, że go raz przecie powitam w mym domu!...“

Kachna, któréj to wszystko sennóm się zdawało widziadłem, mimowolnie zwróciła się ku ojcu.

„Zostać tu!“ krzyknął pan Walenty, straszliwém mierząc ją spojrzeniem, i przyspieszonym krokiem przez podwórze podążył do domu. Kubuś, żelaznóm ujęty ramieniem, nie mogąc się ocucić z zadziwienia, bezwiednie obok uśmiechniętego postępował przewodnika i machinalnie dał się wprowadzić do izby....

Kachna przez chwilę w niemém pozostawała osłupieniu... Ucieczka, śmierć, to znowu proźba o przebaczenie i cierpliwe męztwo przeciw wszelkim cierpieniom i przeciwnościom, — wszystko to krzyżowało się w jéj główce w najdziwniejszych postaciach i barwach. Biedna dziewczyna w tym chaosie uczuć i myśli nic wybrać, nic postanowić nie mogła, czuła tylko całą rozpacz, całą okropność swego położenia i po raz pierwszy zapewne gorzkiemi rozpłakała się łzami..... Co się stać mogło z Kubusiem? — myśl ta niezadługo całkiem zajęła jéj umysł i płacz gwałtownym stłumiła przestrachem. Cóż znaczyła owa niezwykła uprzejmość jéj ojca?... czyż to maska, pod którą okropne kryją się zamiary, podstęp ku łatwiejszemu schwytaniu nieszczęsnéj ofiary?... Rozburzona jéj wyobraźnia najdziksze tworzyła obrazy... Kachna widziała Knbusia w największém niebezpieczeństwie życia, konającego w męczarniach u stóp nieubłaganego ojca, słyszała krzyk jego bolesny, — i bez pamięci, bez zmysłów, z śmiertelną na twarzy bladością rzuciła się ku progom domostwa, by ratować, lub umrzeć z nim razem... Ale przy wejściu do sieni, przy oknach owego saloniku, w którym ten krwawy odgrywał się dramat, straszliwy wzrok ojca uprzytomnił się jéj myśli i trwoga przykuła ją do miejsca... I stała tak, drżąca jak listek, dysząc piersią łkaniem szarpaną, białe rączki załamując w rozpaczy i wzrok błędny rzucając w około... Naraz głos jakiś doleciał ją z okien pokoju. Był to głos spokojny, uprzejmy głos zwykłéj przyjacielskiéj rozmowy, przerywany czasem śmiechem wesołym, czasem dźwiękiem mocniejszym, donioslym, w którym drgała struna uczucia... Kachna odróżniała wyraźnie głos ojca od głosu Kubusia i przestrach zwolna ustępował miejsca zadziwieniu. Rozmowa coraz to weselsze, głośniejsze przybierała tony, jakiś spokój błogi, niebiański do drżącego Kachny zakradł się serduszka, potem promień dziwnéj nadziei, potem radość bez granic i miary!... Kachna ze stanu swego nie umiała zdać sobie sprawy, czuła tylko, że ton téj rozmowy nieopisanym przejmuje ją zachwytem, i już, już niepomna na zakaz ojcowski, chciała przestąpić próg domu, kiedy drzwi otwarły się z łoskotem i przed nią ukazał się Kubuś, promienny radością i szczęściem...

„Zwycięztwo, zwycięztwo, Kasiuniu!“ stłumionym poszepnął głosem, ściskając jéj dłoń gorączkowo. „Będziesz moją, moją dziś jeszcze, tylko cicho, spokojnie na Boga!...“

W téj chwili pan Walenty ukazał się w progu i tryumfalnie spojrzał w okienko pana Filipa...

Tymczasem Staś wolnym krokiem wyszedłszy z miasteczka, do późnego wieczora samotnie błądził wśród lasu. Staś, jak powiedzieliśmy, bohaterskim nieodznaczał się duchem, lecz przeciwnie, tkliwém obdarzony sercem, pełen poetycznéj, rzewnéj wyobraźni, rozkochany w świecie ideałów, nieobeznany z żelazną surową rzeczywistością, słabym, niewieścim grzeszył charakterem. Charaktery takie pod wpływem nadzwyczajnych okoliczności, pod wpływem przestrachu, rozpaczy, niewidząc innego ratunku, jak odważne stawienie czoła przeciwnościom, zrzucają niejako swą słabą, niedołężną naturę, w jednéj chwili stalową okrywają się zbroją i na oślep rzucając się w walkę, do niezwykłéj dochodzą potęgi. Nastrój ten nienaturalnym jest i sztucznym i dla tego zawsze zjawia się przelotnie w raz z naglącemi znika okolicznościami, ustępując miejsca zupełnéj znowu słabości, zupełnemu wycieńczeniu sił ducha... Taką chwilą

niezwykłéj, nienaturalnéj potęgi była dla Stasia chwila fatalnego z proboszczem spotkania; było to bohaterstwo rozpaczy, olbrzymia siła rozbitka, z prądem morza walczącego o życie... Staś, wyszedłszy spokojnie z miasteczka, spoczął na wonnéj szumiącego lasu murawie i tutaj dopiero do zupełnéj doszedł przytomności, rozpatrzył się bliżéj w szczegółach tego stanowczego w swém życiu wypadku i zbladł i zadrżał z przestrachu... Twarz proboszcza w téj chwili zdawała mu się okropną, słowa jego łoskotem grzmotu tętniały mu w uszach dotychczas, cały majestat obrażonéj miłości i dumy przygniatał go teraz do ziemi. Straszliwa ta postać zburzyła od razu cały raj rozkosznych nadziei i, jak anioł z mieczem ognistym, u jego bram zawartych stanęła strażą na zawsze... Staś zerwał się z murawy, chciał szybko uciec do domu, do swéj cichéj izdebki, do ulubionych swych książek, daleko od tych miejsc nieszczęśliwych, daleko od tych strasznych obrazów, — ale myśl o Zosi wstrzymała go nagle na miejscu. Staś wyobrażał sobie całą okropność téj burzy, jaka po jego odejściu zerwała się nad głową biednego dziewczęcia, zaczął gorzkie sobie czynić wyrzuty, że tak bezbronną zostawi, przeciw pociskom rozgniewanego proboszcza, i znowu nowem wiedziony uczuciem zwrócił się w stronę miasteczka, by biedz na pomoc swéj lubéj... Ale niezadługo straszliwa postać proboszcza znowu go zmusiła do odwrotu... W takim stanie męczącéj niepewności długo błądził po lesie i polach, nie mogąc ani wrócić do miasta, ani nazbyt oddalić się od niego, aż wreszcie, ze zachodem już słońca, zupełnie wycieńczony na siłach, powlókł się zwolna do domu. Zbliżywszy się już do dworu, przystanął na chwilę z zadziwienia, niezwyczajnym uderzony widokiem... Na progu, pod cieniem lip rozłożystych, stał jak zwykle przygarbiony pan Feliks, ale w stroju tak wyjątkowym i dziwnym, iż Staś oczom nie wierzył z początku. Na głowie jego piętrzył się wytarty kapelusz, czarny surdut wisiał na wychudłem ciele długie nogi w obszernych tonęły pantaljonach, z pod wyciętéj kamizelki, niezbyt czysta jaśniała koszula, czarną u szyi podwiązana krawatą, a na rękach — dziwo nad dziwy! — białe świeciły rękawiczki; nieodstępny zazwyczaj charapnik tą razą gdzieś leżał na boku.

„Z kąd wracasz?“ zapytał pan Feliks zwolna zbliżającego się syna.

„Z lasu“ odparł Staś półgąbkiem, bacznie przyglądając się ojcu.

„Hm, z lasu!“ rzekł pan Feliks, mrugając oczyma. „To znaczy z miasteczka, albo raczéj z probostwa, nieprawdaż?... No, zabierz się chłopcze, jedziemy!“ dodał z tajemniczym uśmiechem. „Jak widzisz, jam gotów zupełnie...“

„Ale dokąd?“ zapytał Staś przelękniony tą zagadkową przejażdżką.

„A do księdza!“ odparł pan Feliks. „Przecież wiecznie konkurować nie można, trzeba raz się oświadczyć stanowczo!...“

Staś całą siłą rzucił się ojcu na szyję i gdyby nie wielkie drzwi sienne, o które oparł się stary, byłby go wywrócił na ziemię... W jednéj chwili był już w swojéj izdebce i ubierając się z szybkością błyskawicy, śmiał się i skakał jak dziecię...

W kwandrans potem pan Feliks ze synem w jakiejś bardzo odrapanéj karyolce dobrym kłusem zdążali do miasta......

Niejeden z łaskawych czytelników, którego serce, czystym ku wybranéj istocie gorejąc płomieniem, na niezwyciężone ze strony marsowego papki lub tłuściutkiéj mamy natrafi trudności, spostrzeże bez żadnego zdziwienia ową zmianę olbrzymią w usposobieniu pana Feliksa, którąśmy co dopiero pokazać mieli sposobność. Czytelnik ten, życząc sobie w pewnych osobach podobnéj zmiany jak najgoręcéj, uzna ją za całkiem naturalną i wraz ze Stasiem i Zosią powtórzy na swoją pociechę, że i najtwardsze serce potędze stałéj miłości długo się oprzeć nie może. Jest to zasada bardzo przyjemna dla tego rodzaju zakochanych, wątpiemy jednakże, ci i reszta łaskawych czytelników, którzy albo w miłości na żadne nie trafiają przeszkody, albo wcale téj słodkiéj nie doznają plagi, wierzyć zechcą w bezwarunkową tejże zasady prawdziwość. Dla tego, choć z bólem serca, rozwiać musiemy, różowe niejednych marzenia i wsposób niemiły, lecz jasny rozwiązać tę dziwną zagadkę. — Pan Feliks krótko po rozpoczęciu procesu dowiedział się z niemałem zdumieniem, co głównie mieszkańców miasteczka do wytoczenia onegoż przywiodło. Spodziewając się z razu wygranéj, śmiał się z tych próżnych posądzeń, lecz późniéj, kiedy się szczęście na stronę mieszczan przechylać zaczęło stanowczo, rozważył gruntownie tę sprawę i zaśmiał się jeszcze serdeczniéj... Pan Feliks, jak powiedzieliśmy, w razie przegranéj „batalii“,— tak bowiem sądowe nazywał utarczki — nieubłaganym zwycięzców stawał się nieprzyjacielem; zemścić się w jakibądź sposób, uczynić coś na przekorę było dla niego prawdziwą w tym razie rozkoszą. Obywatele miasteczka wytoczyli ów proces nieszczęsny, aby powstrzymać mniemane, między Stasiem a Zosią małżeństwo; związek ten doprowadzić do skutku było więc zemstą najlepszą!.... Pan Feliks pod wpływem téj myśli zmienił od razu swe zdanie, — Zosia z głupiéj dziewczyny „edykowaną“ stała się panną, jéj dziesięciotysięczny posażek magicznym nagle zaświecił połyskiem, ksiądz proboszcz w najzacniejszego zmienił się kapłana, a Staś w chłopaka z rozsądkiem, którego wybór na zupełną zasługiwał pochwałę!... Pan Feliks, jadąc do proboszcza, by stanowczo dopełnić swéj zemsty, poił się już rozkosznem uczuciem świetnego nad nieprzyjacielem tryumfu, a biedny Staś drżał w głębi serca na myśl okropnego z proboszczem spotkania tulił się do ojca, jak pod zbawcze skrzydła anioła, i kiedy karyolka przed proboszczem stanęła nareszcie, ze łzą w oku, z sercem przepełnionem wdzięcznością, rękę najlepszego ojca gorącym okrył pocałunkiem!.....

Są sceny w życiu człowieka, które pod piórem najlepszego nawet powieściopisarza w niesmaczne tylko zmieniają się opowiadanie, których słowami skreślić niepodobna, które uczuciem i wyobraźnią jedynie odczuć i poznać się dają... Jedna ze scen takich nastąpiła teraz pod słomiannym dachem proboszcza, — niechaj ją każdy z czytelników sam sobie twórczym odmaluje duchem...

Ciemno już było zupełnie kiedy szanowny pan Filip, palnąwszy kieliszek kminkówki, podążył do swéj izby,

na piętro i przed stłuczoném zwierciadłem świąteczną rozpoczął toaletę. Wieczór ten ważną w życiu pana Filipa miał odgrywać rolę, miał być początkiem nowéj, najświetniejszéj dla niego epoki... Pan Filip, przekonanawszy się dostatecznie, jak znaczne w sercu proboszcza wywalczyć sobie umiał względy, postanowił pod wpływem szczególniejszego natchnienia tegoż właśnie wieczora przypuścić w szturm ostateczny i swe matrymonialne proboszczowi objawić życzenia. Jako wielki jednak polityk, nawet przed synem zupełną zachował tajemnicę i pod zasłoną wieczornych ciemności, cichaczem wysunął się z domu. Widok jakiejś nieznanéj karyolki, która na podwórzu probostwa do podróży stała gotową, niemiłém go napełnił uczuciem; spodziewając się jednak szybkiego nieproszonych gości wyjazdu, wszedł śmiało w progi probostwa. W gabinecie nie było proboszcza... Szczegół ten mocno zadziwił pana Filipa. Kogóż proboszcz przyjmuje w salonie?... Nie może to żaden być z księży, a więc który ze świeckich sąsiadów,... ale pocóż tak późnym wieczorem?... Pan Filip na palcach przybliżył się do drzwi i ucho przyłożył do zamku. Słyszał jakiś głos ostry, niemiły, przytem głos księdza proboszcza i srebny głosik Zosieńki.

„Ha!“ pomyślał, gnany ciekawością, „przecież wracać do domu nie mogę... Może się też wyniosą niedługo!...“

Piosnka podsłuchana.

Allez, où va mon âme, allez, ô mes pensées
Mon coeur est plein — je veux pleurer! —
(A. de Lamartine).

Śród ciszy wieczora dziewczyna siedziała
Nad brzegiem czystego potoku;
Konwalie i róże do wody rzucała,
A łezka błyszczała w jéj oku.

Ku niebu zwróciła wzrok tęschny, zamglony,
Gdzie gwiazdy w obłoku tonęły,
I z piersi wezbranéj rzewno-dźwięczne tony,
Daleko po rosie płynęły:

* * *

Śpiew.

„Od pierwszéj chwili, gdym ciebie poznała,
Nowy niepokój objął serce moje,
Duszę zaległy smętnych marzeń roje,
Tęschnam, samotna wśród świata została.

Unikam gwaru i zdala od ludzi
Lubię w rozmyślań pogrążać się ciszę,
Gdzie słowik pieśnią do marzeń kołysze,
A chłodny wietrzyk myśl palącą studzi.

Kędy się na mnie zadumane — białe
Patrzą konwalie, na wpółsenne róże,
Perłami strojne — a nade mną, w górze,
W cichym błękicie lśnią gwiazdeczki małe.

A gwiazdki patrzą łzawo i żałośnie,
Jakoby moję dzieliły tęschnotę,
A róże patrzą figlarnie, miłośnie,
Jakby gdzieś w dali szczęście lśniło złote.

Nie dla mnie jasny szczęścia promień złoty,
Noc na méj drodze — dwie ciche mogiły
Rozkosz zabrały — jedno zostawiły
Źródło łez gorzkich i...... imię sieroty! —

Nie dla mnie szczęście, nie dla mnie nadzieje,
Nie dla mnie kwiaty miłości urocze,
Ponurym wieńcem cyprysu otoczę
Obraz, co na dnie duszy promienieje.

Nieraz — przy sercu smutnem wypieszczony
Obraz ten błyśnie mi w górnéj krainie —
To duch wnet skrzydła promienne rozwinie,
I między gwiazdy ulata stęschniony.

Jasnemi skrzydły ducha połączeni
Lecim w obłokach, jak białe łabędzie,
Niebios mistycznem tchnieniem upojeni! —
U stóp nam gwiazdy — wkoło gwiazdy wszędzie —

Ziemia daleko — kirem osłoniona!......
Ale wnet rajskie odbiega widzenie! —
Ze snów i marzeń uroczych zbudzona,
Słyszę głos serca: życie — to cierpienie.

I z oczu płyną ciche łzy, gorące —
Śpijcie w mogile, o! złudzenia marne,
A tam — z błękitu — patrzą gwiazdki drżące,
I róże patrzą miłośnie — figlarne! —

Od chwili, gdym cię raz pierwszy ujrzała,
Nowy niepokój objął serce moje,
Duszę zaległy tęschnych marzeń roje,
Od pierszéj chwili jam cię ukochała.“

* * *

Tu piosnka zamilkła! — Lecz słowik w krzewinie
Podsłuchał wyznanie serduszka,
Wyleciał z ukrycia i szepnął dziewczynie
Tajemne trzy słowa do uszka.

I dziewczę spłonioną twarz w dłonie ukryło,
Uśmiecha się smętnie — to wzdycha —
Słowika, księżyca i gwiazd się wstydziło —
Przed Stwórcę odbiegła myśl cicha.

Antigona.



Turkosy.

Wojna.

(Z ryciną.)

Czyż jesteśmy ci sami, co przed dwoma miesiącami? Czyż chodzimy takim samym krokiem, czyż jemy z tym samym apetytem, czy mówimy takim samym akcentem, jak dawniéj? Wszystko się zmieniło! Febryczny niepokój opanował wszystkich; raz przesadzone nadzieje porywają serca nasze wysoko w obłoki marzeń, to znowu obawy nieugruntowane pogrążają nieledwie w rozpaczy. W biegu zwyczajnych zatrudnień nastąpiło jakieś zastanie się, machinalnie tylko wypełniamy obowiązki, gdyż serca nasze i umysły wytężone ku zachodowi, kędy się wszczęła krwawa i straszna wojna, jakiéj od czasów pierwszego Napoleona nikt nie pamięta. Dwa najpotężniejsze mocarstwa Europy rzuciły się do krwawych zapasów i od miesiąca grzmią bezustannie działa i kartaczownice, i wściekłość walczących składa co dni kilka tysiące dzielnych, młodych i pełnych nadziei ludzi na ołtarzu wojny, wojny tego objawu sprawiedliwości czy gniewu bożego? Mgła krwawa zaległa nad pięknemi wzgórzami Alzacyi i Lotaryngii; skargi i przekleństwa konających, jęki rannych przepełniają powietrze; walczące z sobą narody przejmują się coraz większą zaplaczywością, walka państw zamieniła się na extyrpacyjną walkę dwóch od wieków nieprzyjaznych sobie ras. Kiedyż koniec będzie tych okropności?

I na kim ciąży wina dania powodu do téj straszliwéj wojny? kto rozbechtał namiętności narodowe? kto wepchnął zabójczą broń w ręce ludziom spokojnym i pracy oddanym? Ciężkiéj téj odpowiedzialności nikt nie chce wziąść na swą głowę, i Prusy Francyi, a nawzajem Francya Prusom zarzuca, że dały powód pierwszy do wojny. Z téj i z tamtéj strony, z poważnych ust posypały się oskarżenia. Któż je dzisiaj rozsądzić potrafi. Wprawdzie Francya pierwsza wypowiedziała wojnę, lecz już Macchiawelli powiedział, że nie ten, kto pierwszy dobędzie miecza, lecz ten kto dał powód do tego, winien jest wojny i krwi rozlewu.

Wojna ta tem jest straszliwszą, że spadła na nas jak piorun z pogodnego nieba. Jeszcze w początku Lipca było cicho i spokojnie, dyplomaci zaręczali, że nie ma najmniejszéj obawy, aby pokój Europy miał być zakłóconym, władzcy państw rozjechali się na sielankowy wypoczynek do kąpieli lub letnich siedzib, gdy nagle kandydatura Ks. Hohenzollern do tronu hiszpańskiego zmieniła położenie rzeczy i postawiła Francyę w groźnéj naprzeciw Prusom postawie. Fakt ten był iskrą, która zapaliła prochy wzajemnych niechęci, jakie te państwa żywiły względem siebie od wojny r. 1866, i jakkolwiek sam w sobie małoznaczący popchnął on oba rządy na fatalną pochyłość, po któréj w przeciągu kilku dni do zerwania stosunków dyplomatycznych i wypowienia wojny dojść musiało.

19-go Lipca wypowiedzianą została wojna i natychmiast rozpoczęły się ruchy wojsk, tak pruskich jak i francuzkich ku Renowi, a gdy południowe Niemcy stanęły po stronie Prus, rozwinęła się z końcem lipca nad granicą francuzką gotowa do boju olbrzymia armia niemiecka licząca blizko 600,000 żołnierza. Była ona rozdzielona na trzy armie. Najwięcéj wysunięta na północ-zachód, stała pod Saarbrücken pierwsza armia pod naczelnem dowództwem gen. Steinmetza, znanego z roku 1866 zwycięzcy z pod Nachodu; w Palatynacie bawarskim zajmowała centrum pruskie, druga armia pod Księciem Fryderykiem Karolem; bliżéj jeszcze Renu około Landau i za Renem, w okolicy Karlsruhe rozłożyła trzecia armia z 5 i 11 korpusu prus., i z wojsk niemiec południowych, a prowadzona przez księcia następcę tronu pruskiego. Zadziwiająca szybkość z jaką te olbrzymie masy wojsk zostały zgromadzone na téj małéj, zaledwie kilkanaście mil wzdłuż liczącéj, przestrzeni dały ponowny dowód dokładność wojskowéj organizacyi pruskiéj i energii dowódzców pruskich. Z drugiéj strony granicy, na dłuższéj znacznie. w trójkąt złamanéj linii, rozstawiła się armia francuzka pod naczelnem dowództwem cesarza Napoleona; lewe skrzydło pod jen. Frossardem, naprzeciwko armii Steinmetza, centrum pod dowództwem marszałka Bazain'a a na przeciw ks. Fryderyka Karola, prawem skrzydłem dotykającem Renu w okolicach Hagenau dowodził marszałek Mac Mahon. Cała ta armia nie liczyła nawet 300,000 ludzi, mianowicie prawe jéj skrzydło pod Mac Mahonem składało się tylko z 4 dywizyi po 13,000 ludzi, podczas kiedy Książę następca tronu pruski prowadził przeszło 200,000. Jakiś wielki strategik pdwiedział, że cała sztuka zwyciężania polega na tem, aby o naznaczonym csasie, w naznaczonem miejscu jak największe siły zgromadzić. Jenerałowie francuzcy znać lekceważyli to zdanie; silna pozycya, którą zajmowała armia w rozgałęzieniach gór wogezkich, dobroć broni, a nadewszystko dzielność żołnierza miała zastąpić szczupłą jego liczbę.

Wojstko francuzkie używało w całéj Europie sławy najdzielniejszego, najbitniejszego i najwytrwalszego, a zdanie to było zupełnie uprawnione i doświadczeniem stwierdzone. Z wyjątkiem Prus, nie ma w całéj Europie armii, którąby tworzyła tak jednolitą całość, przejętą do tego stopnia poczuciem honoru wojskowego i tak na wskroś narodową, jak armia francuzka. Dzielne ludy, z których się rekrutuje armia rosyjska, Polacy, Czerkiesi i Finnlandczycy nieznają tego uczucia, które się zowie narodową dumą rosyjską; wojsko austryackie składa się z najrozmaitszych narodów, które się wzajem nienawidzą i podejrzywają. Francya zaś obejmuje jednolity naród, który pomimo niezliczonych prowincyonalnych djalektów zna tylko jeden język piśmienny, a nadto zmierzają wszystkie urządzenia wojskowe francuzkie ku temn, aby wzmocnić i ustalić jednolitą wojska organizacyę. Pułki nie rekrutują się prowincjami, nie ma zatem pułków bretońskich, burgundzkich, alzackich, ale tylko francuzkie, gdyż w każdym pułku znajdują się ludzie z wszystkich zakątków Francyi. Daléj nie noszą pułki nazwiska prowincyi, miasta, lub zmieniającego się często dowódzcy, liczba jest jego oznaczeniem. Zatem idzie, że każdy pułk od chwili swego powstania do dzisiaj uważa się za jedną całość, która ma swoją historyę. Żołnierze 20-go pułku szczycą się do dzisiaj bohaterskiemi czynami swego pułku w bitwie pod Eylau i Austerlitz, a każdy rekrut 4-go pułku wie, że jego pułk był w r. 1812 pod marszałkiem Ney'em w tylnéj straży wielkiéj armii. Przyrodzone przymioty narodu podnoszą wartość dobrze zorganizowanéj armii i każdy Francuz jest z natury skromny w swoich potrzebach, umie się zastosować do każdego położenia, wszędzie sobie da radę, jest odważny i przedsiębiorczy, co wszystko razem czyni zeń wybornego żołnierza.

Armia francuzka odznacza się jeszcze tem przed innemi, że jest wzwyczajoną do wojny ciągłemi walkami w Algierze, które trwają od chwili okkupacyi Algieru, od r. 1830, do dzisiaj. Nieustające prawie nigdy krwawe zapasy z dzikiemi ale bitnemi szczepami Afryki były szkołą wojny nieoledwie dla całéj armii, każdy znakomitszy dowódzca francuzki zdobył sobie w pustyniach algierskich rycerskie ostrogi. Posiadaniu Algieru zawdzięcza nadto Francya wyborne pułki, które w czasie wojen krymskiéj i austryackiéj były postrachem nieprzyjaciół, jako to Żuawy, Turkosy, Szassery afrykańskie, Spahisy i legia zagraniczna. Te to pułki wraz z gwar-

dyą cesarską, stojącą zwyczajnie w Paryżu i jego okolicach, stanowią właściwe jądro armii.

Turkosy, czyli (jak się nazywają officyalnie) „les Tirailleurs indigènes,“ rekrutują się z mieszkańców Algieru, Arabów, Kabylów i Negrów. Mundur ich stanowią jasnoniebieskie, szerokie pantalony, takież jaczki, czerwony fez z żółtym kutasem, owinięty białym turbanem. Uzbrojeni są karabinami z szerokiemi bagnetami nakształt kordelasów, biją się dzielnie i wytrwale, lecz strzelają nieszczególnie to też wystrzeliwszy raz i drugi uderzają z bagnetem na nieprzyjaciela. Żuawy są tak samo uzbrojeni i noszą tego samego kroju mundury co turkosy, tylko, że ich pantalony są koloru czerwonego, jaczki ciemnoniebieskie, a turbany zielone Pierwotnie rekrutowali się żuawi także z krajowców Algieru i powstali w pierwszych latach zajęcia przez francuzów téj prowincyi. W tym to czasie zgłosiła się znaczna liczba Arabów do gen. Damremont, ofiarując mu swoje usługi, a generał utworzył z nich lekko uzbrojone wojsko, które miało pełnić służbę obozową i służyć za przewodników. Powstał w ten sposób pierwszy batalion Afrykanów, który ubrano w mundur orientalnego kroju i dano im nazwisko, jakie nosiła krajowa piechota za panowania tureckiego, która to piechota rekrutowała się przeważnie z wojowniczego plemienia Kabylii „Zuavas“. Batalion bił się dzielnie, powiększono go zatem i zamieniono w pułk, którego komendę objął znany generał Lamoricière, wówczas pułkownik. Imie dowódcy, oryginalność kostiumu przywabiła Francuzów, którzy wstępowali dobrowolnie do tego pułku i z biegiem czasu wyrugowali z niego zupełnie krajowców, z których utworzono w r. 1852 osobny oddział zwany Turkosami W tym to roku zamieniono, trzy bataliony Żuawów na trzy pułki, kilka lat późniéj, w czasie wojny Krymskiéj, utworzono pułk gwardyjski Żuawów, odznaczających się, równie jak ich bracia liniowi, szybkością ruchów i celnością swych strzałów. Jakichż to cudów waleczności, okraszonych francuzkim humorem i wesołością, nie opowiadano o tych pułkach w czasie wojny włoskiéj, kiedy to pod Magentą wrzucili Austryaków bagnetem do Tycynu, mszcząc się za to, że niewczesnym atakiem przeszkodzili im dopić poobiedniéj kawy. Turkosy, których liczbę w r. 1852 powiększono do trzech pułków stojących zawsze w Afryce, pierwszy w Blidah, drugi w Mostaganem, trzeci w Konstantine, biją się równie dzielnie jak Żuawy, dali tego ponownie dowód pod Weissenburgiem, gdzie na chwilę zdobyli sami kilka armat pruskich, a potem do upadłego bronili owéj jedynéj armaty zabranéj przez Prusaków.

Strzelcy konni afrykańscy (les Chasseurs d'Afrique) i Spahisy stoją do siebie w podobnym stosunku, jak Żuawy i Turkosy. Szassery afrykańscy, są jazdą złożoną z Francuzów zaopatrzonych w konie krwi mauretańskiéj i odziani białym burnusem. Spahisy składają się tylko z Arabów i są ubrani zupełnie wschodnim zwyczajem. Niebieska jaczka, szerokie pantalony do kolan i czerwone safianowe buty, karmazynowy pas, za którym tkwią kindżały i jatagany, nareszcie obszerny czerwony burnus fantastycznie ich ubierają. Dobrzy to jezdzcy, a mianowicie Szassery umieją z konia równie celnie strzelać jak Żuawy. Inne pułki jazdy francuzkiéj, Kiryssyerzy, Strzelcy konni, Dragoni i Huzary nie odznaczają się ani doborem koni, ani wycwiczeniem; niezaprzeczenie jazda pruska lepszą jest od francuzkiéj.

Liniowa piechota francuzka, ubrana w czerwone pantalony i niebieskie krótkie bluzy, lekko czarnym spięte pasem, odznacza się wytrwałością w znoszeniu trudów kampanii, i jeżeli wyżéj nazwaliśmy pułki afrykańskie i gwardję wyborem i jądrem armii, nie ubliży to wcale piechocie liniowéj, której pułki niejednokrotnie krwawe sobie zdobyły wawrzyny. Dość przypomnieć 58-y albo 56-y pułk linii, którego to ostatniego pułku batalion dał się w bitwie pod Magentą wymordować prawie, bo tylko 196 ludzi zostało, ale nie ustąpił z placu To też, gdy ten sam 50-ty pułk cofał się po bitwie pod Weissenburgiem spokojny i zimny, chociaż zdziesiątkowany, zawołał na swoich żołnierzy pułkownik stojący ego w rozerwie pułku: „prezentujcie broń!“ bo idzie 50-ty pułk liniowy.

Takie wojsko broniło granic francuzkich, nieoledwie wybor tego wojska był zebrany pod dowództwem marszałka Mac Mahona, generała, który zdaniem armii jest najlepszym generałem Francyi, jak jego armia czołem całego wojska. Marya Edmund de Mac Mahon pochodzi z familii irlandskiéj, która broniąc ostatniego Stuarta utraciła prawie cały majątek. Urodził się w r. 1807, kształcił się w szkole wojskowéj w St. Cyr, poczem walczył jako porucznik w Algierze, gdzie odznaczywszy się przy szturmie na Konstantynę został pułkownikiem w r. 1840. Podczas wojny krymskiéj został generałem dywizyi po Canrobercie, gdy ten został wyżéj posunięty. Mac Mahon to z swoją dywizyą zdobył wieżę Małokaffu, główny punkt fortyfikacyi Sebastopolskich. Kilka słów powiedzianych przy téj sposobności zjednały mu szacunek ogólny, a podziwienie żołnierzy. Gdy wieża Malokoffu była wziętą i chorągiew francuzka powiewała już z jéj szczytów, przybywa adjutant naczelnego wodza gen. Pellissier'a z rozkazem do Mac Mahon'a, aby natychmiast opuścił więżę, gdyż ta jest podminowaną i prochy połączone przez drut elektryczny z bateryą galwaniczną zostającą jeszcze w rękach Moskali, mogą być zapalone i cały fort w powietrze wysadzony.

„Powiedz Pan gen Pellissier“ odrzekł Mac Mahon, „aby wykomenderował dywizyę, która zajmie Malakoff gdy nas w powietrze wysadzą. Jeżeli tu raz powiał sztandar Francyi, zdjąć go nie mogę.“ Jędrne słowa w takiéj chwili. Ale bożek szczęścia opiekuje się podobno dziećmy, pijanymi i bohaterami. Przy rozrywaniu jakiegoś płotu przerwano ów dru elektryczny, Malakoff a z nim Mac Mahon ocalał. Jego to nadejściu w samą porę zawdzięcza Francya zwycięztwo pod Magentą, za co został marszałkiem Francyi i księciem Magenty.

Ten to wspaniały wieniec krwawych wawrzynów poszarpały pierwsze wypadki wojny tegorocznéj. W ten sam dzień, gdy lewe skrydło francuzkiéj armii odniosło łatwy tryumf pod Saarbrücken, 28 sierpnia przekroczyły wojska prusko-niemieckie pod dowództwem następcy tronu Ren i skierowały się na Lauterburg i Weissenburg, podczas gdy 5-ty poznański korpus w tę samą podążył stronę. Dwa dni późniéj 4-go przyszło do krwawéj utarczki pod Weissenburgiem, gdzie jedna niecała dywizya armii Mac Mahona, pod dowództwem znanego z męztwa jakie okazał pod Solferino gen. Abla Douai walczyła przeciw 80,000 Niemców, jak to raporta niemieckie przyznają. Jeden przeciwko ośmiu i walka trwała 7 godzin, od rana do 2-giéj z południa. Turkosy i 50-ty pułk liniowy walczyli jak na żołnierzy przystało, była nawet chwila, gdzie się chwiało zwycięztwo, „walka chwiała się długo“ mówią rapporta. Wreszcie ulegli Francuzi przewadze, generał Douai zginął, wojsko poszło częściowo w rozsypkę, część cofnęła się do głównéj armii Mac Mahon'a, który aby powitać nieprzyjaciela, posunął się naprzód ku Wörth, Reichshoffen i Froschwiller. Tu przyszło w Sobotę 6-go sierpnia do nowéj bitwy stoczonéj z tem samem męztwem i z tym samym rezultatem, co dwa dni poprzednio. Rano o 8-méj huknęły pierwsze strzały; do południa wahało się zwycięztwo, o 3 ciéj po obiedzie ruszyła cała armia francuzka naprzód, w tem 2-gi korpus bawarski przybywa na plac boju, pułki 5-go i 11-go korpusu idą po trzeci raz do szturmu na warowne stanowiska Francuzów, którzy zgnieceni liczbą musieli się cofnąć. Aby zasłonić odwrót wysłał Mac Mahon dwa pułki kiryssyerów, lecz i te wnet podają zniszczowne straszliwemi pociskami bateryi pruskich, skutkiem czego część armii

Mac Mahon'a idzie w zupełną rozsypkę. Po za Hagenau, aż do Strassburga można było po drodze spotkać uciekających żołnierzy francuzkich, zrozpaczonych i złorzeczących losowi i swym wodzom. Jeden tylko generał Mac Mahon, który się cofał ku Nancy, pozostał spokojny i świeży jak róża, jak pisze Edmund About, który się z nim spotkał. „Cóż generale" mówił doń About po przywitaniu, „nie spodziewaliśmy się tego." Zostaliśmy zwyciężeni" odrzekł Mac Mahon, „trzeba się odpłacić."

O tym samym nieoledwie czasie zostało i lewe skrzydło francuzkie, prowadzone przez gen. Frossard pod Forbach zwyciężone, a następstwem tych dwóch klęsk poniesionych tego samego dnia przez armią francuzką było, że cała armia musiała się cofnąć po za Wogezy, po za rzekę Mozelę, ku twierdzy Metz.

ROZMAITOŚCI.

Niewinna Pomyłka.

Raz na stypę do Marcina,
Zjechała się szla hty ch . ara,
Gospodarz dolewał wina,
Aż z czupryn kurzyła para.
Przy kielichu i gawędzie,
Jakoś czas ucieka skory;
W tem ktoś krzyknął — dosyć będzie!
Bo już dzwonią na nieszpory!
Nasza szlachta choć pijana,
Lecz jak dzwon na pacierz woła,
Choćby była rozhulana,
Zaraz śpieszy do kościoła.
Najpijańszy był pan Michał,
Kościół się z nim wciąż obracał,
Bił się w piersi, ciężko wzdychał,
Aż czołem ławki domacał;
I tak sobie zasnął miło,
Organy mu w uszach brzmiały,
Coś mu się o winie śniło;
A w tém... ucichł kościół cały.
I tem się właśnie przecucił......
Lecz był w rozmarzonym stanie,
A ksiądz w tym czasie zanucił
Wśród ciszy: — Do Ciebie Panie!
Szlachcic się zerwał na nogę,
I wrzasnął jak gdyby z miecha
— Dali — Bóg! już ja niemogę!
Pij Wasindziéj do Wojciecha!

Próbka carskiego humoru.

Car moskiewski Peweł I. lubił wesołe towarzystwa, i często zapraszał na wieczory dowcipnych artystów. Do tego grona wybranych należał zawsze sławny k mik paryski Fragére, który potrafił prędko zjednać sobie życzliwość cara.

Pewnego dnia zaczął jeden z gości przy stole wychwalać cesarskiego gospodarza kosztem Piotra Wielkiego.

Car zwrócił się do Fragéra i rzekł: „Nie prawdaż, kochany Fragére, to znaczy okradać Piotra, ażeby zapłacić Pawła."

„Prawda najjaś. Panie" — odrzekł aktor — „ale Wasza Ces. Mość możesz być zupełnie spokojnym o siebie, gdyż nikomu nie przyjdzie na myśl okradać Pawła."

Odpowiedź była uszczypliwa, ale car przyjmował często spokojnie takie dowcipy, i śmiał się z nich nawet. Tym razem jednak pochmurniało jego oblicze, wkrótce wstał od stołu i wszyscy się rozeszli.

Fragére powrócił do domu wielce zakłopotany; dla dowcipnisia z profesyi był nieszczęśliwy dowcip przegraną bitwą.

Było to śród zimy i daleko jeszcze do świtu, gdy go obudziło gwałtownie stukanie do drzwi.

Wstał, otworzył i — któż opisze przerażenie jego? — gdy ujrzał przed sobą oficera z pięcioma lejbgwardzistami w pełnéj zbroi, który doręc ył mu podpisany przez cara rozkaz wygnania na Sybir.

Fragére rozpaczał, targał włosy i wołał: „Jakąż popełniłem zbrodnię, którąby zasługiwała na tak okrutną karę? Czyż niemógłbym widziec się z cesarzem, paść mu do nóg i błagać go o przebaczenie? Tylko dzień, tylko godzinę zwłoki!"

Ale błagał na próżno! Rozkaz był stanowczo wydany, a Paweł umiał przestrzegać dopełnienia swoich ukazów.

Nieszczęśliwy artysta zaledwie zdołał wyjednać od oficera, który się liczył do jego przyjaciół, kilka minut zwłoki, ażeby zabrać nieco bielizny i sukień, a potem musiał wsiąść do powozu, który otoczyła silna eskorta konna. Dwóch mużyków, z gołemi szablami w ręku i z pistoletami za pasem, siadło obok niego, zatrzaśnięto drzwiczki — i powóz ruszył galopem.

Ponura ciemność otaczała więźnia; towarzysze jego milczeli jak zaklęci, i pędzono tak kilka godzin bez ustanku. Naraz stanął powóz i otworzyły się drzwiczki.

Był to dzień biały; ale nie długo dozwolono mu cieszyć się światłem. Z zawiązanemi oczyma zaprowadzono go do jakiejś nędznéj chaty, i gdy mu zdjęto przepaskę z oczu, ujrzał się w ciemnéj izbie, oświetlonéj tylko małym kagankiem, i tu dano mu jeść na drewnianéj misce czarną aresztancką sałamachę — jemu, który niedawno jeszcze opływał w roskoszach, jadał przysmaki przy stole cesarskim i cieszył się względami cara. A teraz był w niełasce, wygnany, w nędzné chacie, raccony jadłem, którem pogardziłby jeg służący, dok ła niego tylko ponure, groźne oblicza, ani słowa pociechy, straszliwa podróż przed oczyma: — biedny ginął z rozpaczy.

„Fragére, musimy się rozłączyć — rzekł ficer; — jakiéj usługi żądasz odemnie? Narażam się okropnie; nie można bezkarnie przekraczać rozkazów cesarskich. Do kogoż ma n udać się w Petersburgn, ażeby ci dopomódz? — „Ud j się do cesarza" — wyjąkał nieszczęśliwy. — „Niepodobna! Żądaj wszystkiego innego, tylko nie tego. Może chcesz, bym przechował twoje pieniądze, twoje kosztowności, dopokąd nie wrócisz? — „Więc jest przecież nadzieja powrotu? Nie jestem na zawsze wygnany?" — „Zkąd znowu! Tylko na trzy lata, a te szybko przeminą." „Trzy lata! — jęknął nieszczęśliwy artysta — trzy lata a Sybirze!" Nowa eskorta przerwała jego utyskiwania, i z zawiązanemi oczyma powieziono go daléj. Po upływie całéj doby zatrzymano się znowu, i nastąpiły te same formalności. ciemna izba, nędzne jadło, wszystko ponure i milczące.

Tak szło daléj przez trzy dni i trzy noce bez przerwy. Wreście zatrzymał się nagle powóz Wyniesiono na pół martwego i posadzono na ławie. Przepaska nie ustępuje jednak z oczu. W pobliżu słyszy jakieś stąpanie, szepty i — co najokropniejsza — nabijanie broni. Zdjęto mu surdut i związano ręce.

„Baczność! Cel — pal!"

Muszkiety zgrzmiały — i Fragére runął bezwładnie na ziemię. Strach pozbawił go przytomności. Wreszcie ocknął się po chwili. podniesiono go, posadzono na krześle i rozwiązano mu ręce; a gdy nakoniec przepaska spadła mu z oczu — ujrzał się w téj saméj komnacie, przy tym samym stole i na tem samem miejscu, gdzie mu się wyrwał ów nieszczęsny dowcip, i otoczony tymi samymi gośćmi z carem w pośrodku. I rzywitano go wesołym śmiechem; ale Fragére zemdlał powtórnie, niemógł przez długi czas opamiętać się z przerażenia, i odzyskał spokojność dopiero wtedy, gdy był już za granicą Rosyi.

I niebyłże to żart najgodniejszy moskiewskiego cara?!

Szarada.

Trzecia z czwarta jeżeli druga pierwsza będzie,
To ją Artysta i każdy stawia w pierwszym rzędzie,
A wszystka jeśli zręczna zajęcie obudzi,
A nawet zbawi wielu bardzo ludzi. —

(Rozwiązanie szarady w nr. 35: (***Kukiełka.***)

Korespondencya Redakcyi.

Pani Urieli w X. Do życzenia zastosujemy się. Za pamięć dziękujemy. Panu Onufremu z nad Gopła. Zechciéj pan nadesłać rycinę z opisem — a wten zas być może skorzystaz grzeczności pańskiéj — Panu Włodzimierzowi Al we Lwowie. Przypominamy się Jego pamięci. Obiecane gawędy historyczne dotąd nie nsdeszły. Czy nie poczty w tém wina? Panu Bocianowi w Dreznie. Jesień się zbliża, czasby już bocianowi swe gniazdo opuścić. W obec krwawego dramatu na jaki dziś patrzymy, płaskie dowcipy publiczności nie zajmą, Panu W. L. pod Inowrocławiem. Praca pańska nie jest pismu naszemu odpowiednią.

Panu M. w Kosztowie i panu Naramańskiemu w Ostrowie. Zażalenie panów oddaliśmy kr. pr. exp. poczt. — nie wątpiemy, iż brakujące numera panowie już otrzymali. Tak panów jako i wszystkich naszych Szan. abonentów upraszamy aby wszelkia zażalenia o nieregularne otrzymywanie „Sobótki" przysyłali zaraz albo do kr. pr, exp. poczt. gaz. (Königl. Ober Post-Amts Zeitungs-Exped. Posen. albo do nas. — „Sobótka" wychodzi regularnie co sobotę o 7méj z rana.